Zwierciadło.

„Zwierciadło“ wychodzi co miesiąc, jako bezpłatny dodatek do „Wiarusa Polskiego“. Prenumeratę, ktora wynosi 60 fen. kwartalnie, przyjmują tylko ajenci i Księgarnia „Wiar. Polsk.“ w Bochum, Maltheserstr. 17a. Cena pojedyńczego numeru wynosi 30 fen.

Prawda w oczy kole.

„Wiarus Polski“ wychodzi trzy razy tygodniowo z bezpłatnym tygodniowym dodatkiem religijnym pod tyt.: „Nauka Katolicka“ i z miesięcznikiem „Zwierciadło“. Prenumerta na poczcie wynosi 1 m. 50 fen. kwart. a z odnoszeniem do domu 1 m. 75 fen.

Nr. 5. Bochum, w maju 1896. **Rok 4.**

Pieśń majowa.

Maj zakwitł! Na sioła
Promienne mkną koła,
I barwą i wonią
Lśni kwiat,
A tam u stóp Matki
Piosenki gromadki
Drżą żalem i dzwonią
Gdzie w świat:

O, święta Panienko!
Słowiczą piosenką
Rozpieśnił się cichy
Nasz gaj,
Mknie nuta swobody
Przez szmer srebrnej wody,
Słoneczne uśmiechy
Szle maj.

O, czemuż jedynie
Nam w żyznej krainie
Łzy tłumią pieśniany
Nasz głos,
I ćmią się pól kwiaty,
Ćmią barwne ich szaty
Przez krople rozsiane
Tych ros?

W kajdanach niewoli
O, Maryo, tak boli
Gdy jęczy w ciemności
Nasz kraj,
Dokonaj już cudu,
Daj światła dla ludu
I zeszlij wolności
Nam Maj.

St. Kossowska.

3-go Maja.

Dokąd Piasta naród żyje,
Dokąd polskie serce bije,
W żyłach płynie polska krew...
Dotąd zawsze nam Maj Trzeci
Jak promienna gwiazda świeci;
O nim nucim z serca śpiew!

Trzeci Maja — to dzień chwały,
Nim się chlubi naród cały
I jak święto kraju czci...
Konstytucya ogłoszona,
Dola ludu poprawiona,
Równość stanów zgodą lśni.

Od warsztatów rzemieślnicy
I od pługów — kos — rólnicy
Już się bracią szlachty zwie.
Wszyscy razem, w świętej zgodzie
O Ojczyzny śnią swobodzie,
Przeszłość niknie w czasu mgle.

Naród z królem — król z narodem!
Wrogom ścina się krew lodem,
Konstytucyę zniszczyć chcą —
Polskę w szmaty pokrajali,
Szczęście, wolność, podeptali,
Do cnót naszych już się rwą.

Lecz niech sobie socyaliści...
Anarchiści — nihiliści
Czczą pierwszego Maja dzień...
Wrogów Polski z nas nie zrobią,
Nas Polaków nie przerobią
Do ostatnich naszych tchnień.

W Boga wierzyć będziem stale,
Cnotę wielbić będziem trwale
I czcić będziem Trzeci Maj!
Niegodziwych wrogów praca
Niech się od nas wstecz odwraca
Nam zwyciężyć Boże daj!

Nad Wisłą.

Powiedz Wisło, nasza...
Gdzie te czasy, gdzie?

Gdy to pułk Kościuszki
Poił konie swe?...
Gdy się Orzeł Biały
W górę wolny wzbił....
I dzielny lud Piasta
W cichem szczęściu żył?...

Powiedz Wisło, nasza.
Gdzie te czasy, gdzie...
Kiedy kraj nasz piękny
Nie znał kajdan — nie!...
Kiedy naszej ziemi
Nie śmiał gnębić wróg?...
I krwawym łzom płynąć,
Tu nie kazał Bóg?...

Powiedz, Wisło nasza —
Gdzie te czasy, gdzie...
Kiedy sława Polski
Nie kryła się w mgle,
Kiedy obce ludy
Zazdrościły nam,
A Sobieski mężny
Bronił Wiednia bram?!

Powiedz Wisło nasza,
Gdzie te czasy gdzie,
Gdy Sybirskich stepów
Lud twój nie znał, nie —
I biedna Warszawa
Znała szczęścia świt —
Dziś jej jękom wtórzy
Ciężkich kajdan zgrzyt.

Powiedz Wisło nasza,
Gdzie te czasy, gdzie...
Kiedy nam nie było
Tak smutno — tak źle...
Kiedy Orzeł Biały
Szczęścia blaskiem lśnił...
A lud polski wolny...
W wolnym kraju żył.

Jadwiga z Z. S.

Carska zmora.

Cisza panuje wśród carskiego sioła,
Noc ciemna — tylko jasnych gwiazd tysiące,
Któremi niebo zasiane dokoła —
Lśni się jak wilków źrenice żarzące!
Cisza panuje, bo car oczy zmruża...
Cały Petersburg przebiegł duch milczenia —
Gdzie niegdzie tylko, jak grobowców cienia,
Snuje się garstka mieszkańców lękliwych...
Wreszcie ucichło — wiatr szumieć przestaje —
Nawet na Newie szum fali burzliwych
Stopniowo cichnie i całkiem ustaje.
Wszystko zasypia i co tylko żyje,
Wszystko przepełnia jakaś dziwna trwoga,
Ptak nie przeleci i pies nie zawyje —
Aby nie zbudzić moskiewskiego boga.
Car leży — ale dziwny sen go dręczy —
Rzuca się — wije — i na łożu jęczy...
Wtem szelest powstał w sypialnej komnacie —
Car patrzy: widzi niewiastę w kajdanach
W połowie nagą — na pół w śnieżnej szacie,
Z pod której widać całe piersi w ranach.
Ona się zbliża — kajdanami brzękła
I pierś jej w jednę ranę się rozpękła.
Car woła: „Ktoś ty! co chcesz pokutnico,
Czego mnie palisz łez pełną źrenicą?...“
A ona rzecze: „Jam Polska jest, carze!
Każdemu z carów, kiedy tron obejmie,
Przychodzę mówić: że Bóg ciężko karze
Za męki moje! Nikt klątwy nie zdejmie —
Jeźli ją rzucę w twoich rządów drogi...
Posłuchaj przestróg...“ Car szepce wśród trwogi
Coś bezprzytomnie — a Ona mu prawi:
„Duch mój przed tobą raz jeszcze się zjawi,
Posłuchaj przestróg — nie idź w ojca ślady...“
I pierś odkryła — a przed oczy cara,
Trysła krew z piersi! Car cofnął się blady,
A Ona znikła w mgle jak senna mara...

Niemcom poznańskim.

Drażnią was, Niemcy, polskiej pieśni tony,
Pieśni narodu, co karku nie zgina,
Lecz hardo walczy z wami niewzruszony,
Wierząc, że świtu wybije godzina.

Drażnią was, Niemcy, ludu miliony,
Co pieśń ojczystą w piersi swojej chowa,
Dziwi was, czemu lud ten niespodlony,
Choć cięży na nim niewola wiekowa.

I pieśń, jedyną po ojcach spuściznę,
Chcecie mu wydrzeć, bo pieśń to namiętna,
Chcecie mu swoją zaszczepić ....
By nie zawrzały ogniem jego tętna.

Próżny trud, Niemcy, próżne ujadanie,
Nie padnie naród i nie ugnie głowy,
Ale, wyzwany, na bój z wami stanie
I walczyć będzie czynem, a nie słowy.

Wy nie wyrwiecie pieśni z jego duszy,
Bo na jej straży stoją archanieli,
Szczep wasz u stóp jej własną moc wprzód skru-
Nim rękę na nią podnieść się ośmieli! [szy,

Chociaż na rękach ciążą nam łańcuchy,
Pieśni żyć będą, żyć będą i żyją,
I pieśń nam doda do walki otuchy,
Choć psy .... na nią ciągle wyją.

(Z „N. Ref.“) E. Bieder.

O piorunach.

Zdzisław i Witołd z przeciwnych stron wychodzą z strzelbami, jakby tropiąc zwierzynę.

Zdzisław (spostrzega Witołda): A, to niespodzianka! Zamiast przepiórki spotykam sąsiada, dzień dobry!

Witołd: Licha tam dobry, kiedy łażę od samego rana i jakby na przekór tylko wróble widzę — a coś na burzę się zanosi.

Zdzisław: E, nic to, bywało się już w innych przypadkach, chyba głupi nie dałby wiary, (z zaufaniem) niejedno się przebyło, czego w historyach niestety pisać nie będą. Raz w obiad z poza lasu czarna wystąpiła chmura, wiatr począł się nagle wzmagać; bezprzestanny grzmot i błyskawica okropną zapowiadały burzę. Widząc to, siadam na wóz i pędzę na pole. Ledwo, że pierwszych dosięgnąłem zagonów: „do domu! do domu!“ zawołałem i wnet pobiegły matki, tuląc spragnione dzieci do piersi, chłopi, błogosławiąc dobremu panu, szli z wolna za niemi! Wkrótce też potem grad pokrył pola, deszcz ulewny zaciemnił widnokrąg, pioruny biły z przeraźliwym łoskotem. „Ignacy — wołałem — wolno, przez miłosierdzie Boskie wolno! prędką jazdą utworzone pasmo wiatru może piorun sprowadzić.“ — „Proszę jegomości, co rychlej, to rychlej: pod dachem będzie bezpieczniej,“ odrzekł trwożliwy Ignacy. Wtem walka żywiołów zwiększyła się, ziemia zadrżała, grom... i bezzwłocznie piorun w prawe tylne koło mojego pojazdu uderzył. „Kaczaj“, krzyknął Ignacy, jam się przeżegnał, konie biegły, ile im sił starczyło. „Ignasiu! stój! stój! jeżeli Boga masz w sercu, stój! ja wysiądę.“ Ognista wstęga i dym siarczany dalszą wstrzymały prośbę, lewe od przodku koło zdruzgotane zostało w kawałki. „Stój! stój!“ nie, on jeszcze silniej konie zacina. Minęliśmy cegielnię, kuźnię, dyszel we wrota stajenne uderzył; rozwarły się na oścież i na pół żywy ujrzałem się pod pożądanym przez Ignacego dachem; pojazd stracił wreszcie równowagę, wywrócił się, a ja wysypałem się na ziemię.

Witołd: Więc pan dobrodziej na dwóch tylko kołach wjechałeś do stajni?

Zdzisław: Tak jest, łaskawy panie, na dwóch i to na jednem tylnem i na jednem przodkowem, na lewem i na prawem, przez co równowaga zachowaną być mogła.

Witołd: Dalekoż było od karczmy, gdy pierwszy uderzył piorun?

Zdzisław: Najmniej, żebym nie skłamał, ukraińskiej mili ćwierć dobrą — pocztowej była połowa i może jeszcze kroków kilkanaście.

Witołd: Zazdroszczę panu dobrodziejowi tego wypadku; mnie, co tak bardzo lubię pioruny, jeden raz dopiero coś podobnego w życiu przytrafiło się. Będzie temu lat 5. gdym na łaskawy rozkaz ciotki mojej do Cichostronia przyjechał. Na św. Emilię spodziewano się gości. W lipcu nie wolno do czworonożnego strzelać zwierza, więc poszedłem na wodne ptactwo, iżby cioci na jej imieniny myśliwską zrobić niespodziankę, zwłaszcza, że ciocia dobrodziejka bardzo lubiła bekasy. Zaopatrzony we wszystko, co na dzień cały polowania jest potrzebnem, wyszedłem z pałacu jeszcze przed wschodem słońca. Dzień był przepyszny; na purpurowe obłoki wtoczył się złocisty wóz słońca, a wedle Kopernika ziemia raczyła się na osi w ten punkt przechylić, żem cały szkarłat wschodu zobaczył. Nie umiał cenić tak wspaniałego widoku Tyras, wyżeł mój, bo wietrząc zwierzynę, na jeziorko popłynął. Podrywa się cyranka, jedna, druga, trzecia, czwarta i dziesiąta; strzeliłem na zakręcie ich lotu, siedm spadło, pies przyniósł do nogi, przytroczyłem i idę dalej; ale pocóż pana dobrodzieja nudzić — przed godziną 9 tą miałem przy torbie 24 cyranek, 6 wielkich kaczorów, 30 krzyków i 8 dubeltów.

Zdzisław: O, wierzę, wierzę! bo ja raz przez jedną godzinę...

Witołd: Proszę nie przerywać; nie o to rzecz idzie; gdym, mówię, 68 sztuk ubił, spocząłem na pobliskim pagórku, wyżłowi rzuciłem chleba, sam napiłem się wódeczki i utrudzony pracą mimowolnie na słodko zasnąłem; Co to jest, panie dobrodzieju, namiętność! i we śnie strzelam, morduję zwierzynę; już nie pamiętam, ilem ja to wówczas nastrzelał, nie wiem także, jak długo poiłem się słodkim snem, gdy mnie ciężki grzmot przebudził. Od zachodu toczy się ogniem ziejąca nawałnica, szum okropny poprzedzał, wicher, z korzeni rwał drzewa, tumany piasku biły mi w oczy. — Nie naśladując pana dobrodzieja, któren się bałeś piorunów, przeciwnie, podziwiając widok gniewnego nieba, z zachwytem przypatrywałem się, jak szybki do mnie zbliżył się uragan ognia i wody, — obnażoną pierś wystawiłem naprzeciw burzy, — roztwartemi usty połykałem wiatr — i tak poetycznym uniesion zapałem, czekam rychłoli nad moją głową nadejdzie łoskot piorunów; gdy wreszcie wielkości strusiego jaja krople na czoło moje upadły, a a wkrótce deszcz strumieniami się puścił. Panie Zdzisławie! nie uwierzysz, jaka to rozkosz widzieć wśród rozległego pola na około siebie,

nad sobą i przed sobą — nic więcej tylko ulewny deszcz. Niecierpliwiłem się wprawdzie, że pioruny zdala odemnie padały; jam pragnął doświadczyć wrażenia blisko — jak najbliżej uderzającego piorunu.

Zdzisław: Istotnie W. Pan Dobrodziej do bardzo śmiałych policzonym być możesz.

Witołd: Jest to błędem naszej rodziny; — mój niebożczyk stryj w czasie najgwałtowniejszej burzy zwykł wchodzić na dach swojego pałacu i trzymał się zawsze lewą ręką konduktora, aby miłego doznać wstrząśnienia w razie, gdy piorun uderzył; radzili mu to nawet lekarze na zatwardzenie wątroby.

Zdzisław: Prawdziwie osobliwszy rodzaj przyjemności i leczenia się; ale jakżeż było wówczas na polowaniu?

Witołd: Oto, kiedy złorzeczę nieżyczliwemu kierunkowi chmury, która mi żadnego nie naprowadziła piorunu, naraz zdawało się, że ktoś wiedeńską kitajkę nad memi uszami rozdziera, i czy pan dobrodziej uwierzysz? piorun w prawą lufę mojej strzelby uderzył.

Zdzisław: To pan dobrodziej zapewne rękę a w najszczęśliwszym przypadku strzelbę utraciłeś?

Witołd: Bynajmniej, jak pan widzisz, mam ręce całe, a ze strzelbą inaczej się stało. Lecz mówiąc dalej: ha! pomyślałem sobie, raz przecie życzenie moje spełnionem zostało; gdy w tem trzęsie się ziemia, jak galareta, łamie się ogromne niebios sklepienie i drugi piorun wpadł w lewą lufę. Patrzę, panewki przywarte, proch nie poruszony, oczywiście obadwa pioruny albo wśród pakuł, albo wśród śrótu zostały, nie dotknąwszy prochu. Po nagłym przelocie burzy słońce żywszem zaświeciło promieniem i prócz kontuzyi, której u nóg moich tulący się wierny Tyras w ogon był dostał, bez najmniejszego szwanku zdrów, wesół i cały, — dźwigając 24 cyranek, 6 wielkich kaczorów, 30 krzyków, 8 dubeltów i — dwa pioruny powróciłem do cioci.

Zdzisław: Być może, ale i wierzyć trudno.

Witołd: Jeżeli pan dobrodziej pozwolisz, pokażę tę samą dubeltowkę; mam ją tutaj ze sobą, możemy nawet jeden piorun wystrzelić.

Zdzisław: Jak to? Do tej chwili są jeszcze w tej fuzyi te same pioruny?

Witołd: Tak jest, panie dobrodzieju! pozwolę panu dobrodziejowi jeden wystrzelić. Hej, Janie!...

Zdzisław: Nie, nie potrzeba — ja wierzę panu dobrodziejowi co do słowa, — nie wątpię, — szkodaby było pozbawić się takiej osobliwości.

Witołd: Ależ jeden tylko wystrzelimy.

Zdzisław: O nie — nie, panie Witołdzie, ja wierzę — ja znam pioruny i wiem, że się zdarzają nadzwyczajne przypadki, którym tylko głupcy wiary dać nie chcą. — Co za szczęście, żem ja wtenczas pod Tarliuem żadnej nie miał strzelby.

Witołd: Ale byłbyś, panie Zdzisławie, dwóch kół nie postradał...

Zdzisław: Do widzenia, sąsiedzie! Pójdę pod Klonówkę, może co przydybię.

Witołd: Szczęśliwego polowania! (żegnają się).

Zdzisław (na boku): Nie taki ja głupi! Gdzie on tam pioruny ma w strzelbie — wróble ma w głowie! (Pokazuje na czoło i odchodzi).

Witołd (także na boku): Ten ciuciubabski wszystko wierzy, byle mu nakłamać! Ale jak niedorzecznie kłamie! Na dwóch kołach do stodoły wjechał! Chyba na kiju (odchodzi).

Podsłuchane.

Zmieniło się.

— Teraz prosisz o podwójną porcyę, a dla czego dosyć było jednej przez cały rok?

— Proszę pokornie pana kapitana, zmieniło się! Teraz tam, gdzie służy moja narzeczona za kucharkę, zaręczył się pan porucznik z córką pani i tak wszystko zjada, że dla mnie nic nie pozostaje.

Kto smaruje...

— Aleś mi pan nasmarował tłusty rachunek — niech pana!...

— Panie dobrodzieju! trzymam się zasady: kto smaruje ten jedzie, a smaruje się tylko tłustem...

Pokrzywdzony kamienicznik.

— Czemuś nie najął tym młodym ludziom mieszkania?

— A bo dowiedziałem się, że u nich odbywają się jakieś zebrania, to z pewnością szyby w oknach by tłukli...

— Co za osioł z ciebie! zapomniałeś, że jestem szklarzem!?...

Przysięga.

— A to co znaczy, ta czapka wojskowa?

— To znaczy, że już wykonałem przysięgę.

— Cobyś ty już musiał czapek zmarnować!

— Ze sto razy mi przysięgałeś, a zawsze jedno: pijesz i oszukujesz mnie!...

Za druk, nakład i redakcyę odpowiedzialny: Antoni Brejski w Bochum. — Nakładem i czcionkami Wydawnictwa „Wiarusa Polskiego“ w Bochum.